

Mahanoro, dnia 8 września 1992 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Na Madagaskar przyleciałem szczęśliwie, ale jeszcze nie mogę zamieszkać w swoim domu w stolicy. Przed rokiem obiecano mi, że będzie to możliwe przed 15 lipca, teraz przyrzekli, że będę mógł się wprowadzić do nowego domu przed 1 października, a seminarzyści zamieszkają 10 dni później. Moje bagaże już dojechały, tym razem wiezione z Diego Suarez do Mahajanga statkiem, a stamtąd przywiózł je land-rover'em Ojciec Jerzy jadąc na śluby zakonne do Mahanoro. Odnajdę je wkrótce. Dobrze, że nie pojechałem do stolicy oglądać nasz nowy dom, bo chyba uciekłbym już z Madagaskaru, chociaż ledwo przyjechałem. Oceńcie sami. Przygotowano mi podwójny pokój: pierwszy, w którym mam pracować, a drugi pomniejszony o łazienkę ma mi służyć za sypialnię. Oczywiście, że takie rozwiązanie jest bardzo dobre, jeśli mądry ludzie planują. Mnie postawiono tak ściankę dzielącą mój drugi pokój, że będę spał w klitce bez okna, zaś w łazience będę miał wielkie okno, jak w pierwszym pokoju. Ciekawy jestem, jak to naprawdę wygląda. Ja przed obejrzeniem domu nie wygłaszam ocen. A w stolicy będę zapewne już za cztery dni.

Właśnie przed rozpoczęciem pisania listu wspólnego skończyłem jeść uroczysty obiad z dziewięcioma młodymi Malgaszami, którzy po rocznym nowicjacie złożyli dziś pierwsze śluby oblackie. Ośmiu z nich będzie studiowało w Seminarium w stolicy Tananarywie, jeden będzie się uczył na specjalnych kursach dla braci juniorystów, a wszyscy będziemy mieszkali razem w domu, który już jest na ukończeniu. Rekolekcje przygotowawcze prowadził O. Jerzy i on też przyjmował śluby zakonne, gdyż przełożony naszej grupy pojechał już do Rzymu na Kapitułę naszego Zgromadzenia. Poza tym są prawie wszyscy polscy Oblaci i po trzy osoby z rodziny każdego składającego śluby. Przyjechały tutaj na nasz koszt. Są też inne osoby „towarzyszące” zaproszonym, ale tym już kosztów nie zwracamy.

Pan Jezus kazał gospodarzowi wyciągać ze skarbcza rzeczy stare i nowe, ja zaś ze swej pamięci wydobywam wspomnienia dobre, złe i takie sobie, a dziwiącym się zmianie w tonie moich listów wyjaśniam, że przestałem ukrywać prawdziwe nastroje i fakty z powodu krytyki i drwin z misjonarzy, którzy opuścili naszą misję. Na przykład o malarii może mówić z lekceważeniem tylko ten, kto jej sam nie przeżył. Chociaż prawdą jest, że „na malarię nikt nie umiera” z wyjątkiem... właśnie w Poznaniu zmarł polski ksiądz misjonarz w czasie, kiedy taką opinię wyraził w liście do nas jeden z mieszkańców Poznania. Dlatego proszę nie gorszyć się czytając w moich listach o czymś „niegodnym misjonarza”.

Rosyłając ostatni list wspólny z Wyższego Seminarium w Diego Suarez nie wiedziałem, że z powodu ataku bólu w końcu stycznia muszę przyspieszyć urlop i już dnia 1 kwietnia pożegnano mnie bardzo serdecznie podczas Mszy Świętej, w której uczestniczyły w naszej kaplicy także wszystkie siostry i nowicjuszki z pobliskiego klasztoru. Mniej poważne było pożegnanie w jadalni „przy stole”, gdzie usłyszałem wiele miłych słów i otrzymałem sporo pamiątek łącznie z nagrodą na zdobycie trzeciego miejsca w pingpongu, a że nagrody były trzy, więc zatrzymując tytuł trzeciego pingpongisty Seminarium nagrodę dałem temu, który zajął czwarte miejsce przegrywając ze mną w „finale B”. Raz nawet grałem w reprezentacji Seminarium. Odpowiadając na mowy pożegnalne stwierdziłem, że do Seminarium każdy przybywa przynajmniej na 3 lata (o ile nie dubluje któregoś roku), a przełożeni zabierają go wcześniej wtedy, gdy nie rokuje nadziei. Mnie przełożeni odwołują dokładnie po 18 miesiącach pobytu. Z seminarzystami drugiego i trzeciego roku spotkam się jeszcze w stolicy, gdyż oni jeszcze tam będą studiowali teologię. Zaś seminarzyści pierwszego roku teologię będą studiowali już w Diego Suarez, gdzie przed wakacjami 1995 roku zostanie zbudowany Teologat w pobliżu gmachu, w którym teraz studiują filozofię. Wspólne będą sale wykładowe, amfiteatr na dwieście krzeseł i biblioteka. Przyczyną takiego układu jest fakt, że po filozofii seminarzyści przerywają

studia na rok zamieszkując na jednej z misji i pomagając księżom w duszpasterstwie. Chodzi nie tyle o pomoc, co o uczenie się duszpasterstwa, chociaż ich praca na misji jest bardzo pożyteczna

Przygotowując się do urlopu pytano mnie, kiedy odlatuję z Diego Suarez. Moja odpowiedź nie zawsze była przyjmowana poważnie, chociaż ja mówiłem prawdę: „na przykład, w dniu 1 kwietnia”. Jeden z księży malgaskich wykupił bilet do Tamatawy na dzień 31 marca bojąc się, że w dniu 1 kwietnia mogą mu zrobić jakąś niespodziankę. Tymczasem ja będąc niepoważnym wykupiłem bilet na pierwszego kwietnia i doleciałem szczęśliwie. On zaś w dniu 31 marca w ogóle nie odleciał, gdyż samolot nie mógł wylądować na lotnisku w Tamatawie zajętym przez dwustu pijanych ludzi (sprawy polityczne). W dniu 4 kwietnia przeleciałem na pobliską wyspę Reunion i tutaj musiałem skorzystać z taksówki, gdyż ksiądz mający wysłać po mnie samochód po prostu zapomniał. Pisał mu o moim przyjeździe inny misjonarz z Madagaskaru, ale zrobił błąd: w jednym liście napisał o dwóch sprawach, tamta była z całą pewnością ważniejsza, niż mój przyjazd. Jednakże wynagrodził mi to zwracając wydane pieniądze. Na Mszy Świętej byłem przedstawiony jako Polak z Madagaskaru, a jedna z jego parafianek odwiozła mnie na lotnisko nie przyjmując zapłaty za benzynę. Odlatywałem w niedzielę, wszyscy księża byli zajęci. Mnie starczyło czasu na zwiedzenie miasta Saint Denis, zanim odleciałem w kierunku Paryża.

We Francji i Niemczech odwiedziłem klasztory oblackie, szczególnie mające biblioteki. Zdążyłem więc zobaczyć tuż przed sprzedaniem kompleks dawnego oblackiego Seminarium w Solignac ze wspianymi bibliotekami, także salą starodruków i rękopisów. Widziałem dawne Niższe Seminarium Oblackie w Pontmain (obecnie dom rekolekcyjny) wraz z kościołem i miejscem objawień Maryi w 1870 r. Wiele książek do naszego scholastykatu otrzymałem w Strassburgu. Dużą pomoc, jak zawsze, dali Oblaci w Mainz. W maju pojechałem do Austrii i Ojciec Józef Mathuni, Oblat Maryi Niepokalanej, pomógł najwięcej. Uczestniczyłem w niedzieli misyjnej w Maria Taferl, podziwiając ludzi, którzy w epoce samochodów szli tu na pieszo nawet 70 km. Ja przemawiałem przez 10 minut po francusku, tłumaczył na język niemiecki dawny misjonarz, który spędził na Ceylonie 27 lat.

Po raz pierwszy wjeżdżałem do wolnej i katolickiej Polski. Kierując się odzyskaniem niepodległości przez Polskę dałem do paszportu zdjęcie z koloratką. Lubię sprawy jasno postawione i chcę, aby kontrolujący od razu rozpoznał mnie jako księdza. Pierwsze spotkanie ze służbą graniczną nie było przyjemne. Celnicy przeszli korytarzem nie wchodząc do przedziałów, ale przy kontroli paszportowej stawiający stempel w moim paszporcie postawił też kilka pytań urzędowym tonem: kim pan jest? kto to jest ksiądz? czy pan jedzie z rodziną?... Innym pasażerom nie zadano ani jednego pytania. Jeszcze trzy razy spotkałem się z polskimi służbami granicznymi, jadąc i wracając z Austrii oraz wyjeżdżając po urlopie do Paryża, wtedy było już dużo przyjemniej.

Dwa dni po przejściu polskiej granicy mówiłem kazania o misjach podczas wszystkich Mszy Świętych w kościele oblackim w parafii, w której przed 20 laty byłem wikarym. Po ostatniej Mszy Świętej podeszły do mnie dzieci, które przez cały dzień bawiły się przy kościele. Byłem w białej sutannie. Gdy rozmawiałem z nimi, mama sześciolatka przez okno odwołała swego syna mówiąc tak głośno, że nie mogłem nie usłyszeć: „N., do domu! Czy ciebie wychowuje ulica”?

Jednakże te dwa zdarzenia nie mogą zmienić ogólnego wrażenia wielkiej życzliwości, z jaką spotkałem się podczas mego urlopu. O misjach mówiłem w dwudziestu parafiach (1-7 kazań), miałem wiele spotkań w różnych grupach, zwłaszcza z młodzieżą. Rozmowy w pociągach też nieraz kończyły się wymianą adresów. Przejechałem w Europie 16.100 km, w tym w Polsce 11 tysięcy. Przeleciałem dwa razy po nieco ponad 10.000 km samolotami. Pewien polski proboszcz, bardzo mi życzliwy, przedstawił mnie swoim parafianom jako misjonarza „na tak zwanym zasłużonym urlopie”. Wytłumaczcie mi, co to znaczy, Waszym zdaniem, „misjonarz na tak zwanym urlopie”.

Nie byłem w stanie odwiedzić wszystkich, z zasady unikałem odwiedzin w rodzinach, które nie informują swoich duszpasterzy o korespondencji ze mną. Niektórzy byli poza domem, gdy byłem w ich parafii (wiadomo, były wakacje). Niektórzy nie dostali moich listów (strajki na Madagaskarze), dlatego do spotkań nie doszło i teraz to nadrabiam listami. Jestem wdzięczny za

wszystkie dary i modlitwy, za gościnę i wszelkie ułatwienia w podróżowaniu. Chociaż i w Polsce humorów nie brakło. Odwiedzając cztery rodziny pewnego dnia jadłem tylko desery: u jednych byłem jeszcze przed obiadem, u drugich po posiłku. Innym razem jadłem po dwa obiady czy dwie kolacje.

Niewiele wywoziłem w walizce wyjeżdżając z Polski autokarem do Paryża. Za to z Paryża na Madagaskar wywoziłem 28 kg: 12 kg części do traktora, sporo książek, 2 kg francuskich serów, tyleż polskiej kiełbasy (jest taka w pewnym sklepie w Paryżu), 2 koszule, małą maszynę do pisania... Natomiast w skrzyniach z Poznania otrzymam zakupione przeze mnie lub подарowane mi: bieliznę, ubrania, sprzęt elektrotechniczny, komputer, zegarki, budziki, książki, wyposażenie do nowej kaplicy naszego domu w stolicy, organy elektroniczne „Casio”, odtwarzacze i małe radia dla seminarzystów... Pewnemu panu czytającemu wykaz rzeczy do zakupu wyjaśniam, że żyłka nie jest mi tu potrzebna do łapania ryb, ale służy np. do zszywania plastikowych sandałów, które z klejem „uhu” rozwiązują sprawę przedłużając na długo ich żywotność.

Podczas katechezy w szkole, którą ukończyłem 42 lata temu, w klasie siódmej zadano mi pytanie: „co my możemy dać dla misji”? Nie wszystko mogę zabrać ze sobą, bo czasami przesyłka kosztuje drożej, niż zabawka lub inna rzecz. Nieraz na Madagaskarze płaci się 2-5 razy drożej za produkty z Europy, a przy odbiorze też płacimy cło, stąd najlepiej wysyłać dary przez Prokurę OMI w Poznaniu. Ale dzieci bez pieniędzy też mogą zrobić bardzo dużo jako mali misjonarze. Przede wszystkim modlitwą. Potem mówieniem o misji ze swoimi rówieśnikami, czytaniem i pokazywaniem listów misjonarzy. „A jeśli macie do ofiarowania zabawki, rozejrzyjcie się, czy w pobliżu was nie ma dzieci, które nie mają takich zabawek, a ucieszyłyby się, gdybyście Wy im dały swoje”. Wracając na Madagaskar jeden dzień spędziłem w jednej z parafii w Saint Denis na wyspie Reunion. Odprawiałem Mszę Świętą dla młodzieży. Zdziwiłem się, gdy z zakrystii dwudziestka dziewcząt i chłopców wyniosła dwa worki zabawek idąc na salkę parafialną. Czyżby ci chcieli się bawić takimi zabawkami? - pomyślałem w pierwszej chwili. Ale szybko zrozumiałem moje śmieszne posądzenie, gdy zobaczyłem zostawiające pod opieką młodzieży swoje małe dzieci matki, które przyszły uczestniczyć w następnej Mszy Świętej. To bardzo mi się podobało. I wszyscy byli zadowoleni: i dzieci zbyt małe do modlitwy nie nudziły się, i matki mogły się modlić nie widząc nudzących się dzieci. Chociaż dzieci pięcioletnie i starsze wolałbym widzieć przy rodzicach, gdyż już są zdolne do odpowiedniego zachowania w kościele.

Ze mną korespondują dzieci i młodzież nie tylko z Polski, z którymi wymieniłem adresy. Nieraz zapoznaliśmy się przypadkowo z autobusie lub w pociągu, częściej po Mszy Świętej w ich parafiach, nieraz przy odwiedzinach, na które byli zaproszeni i sąsiedzi. Nie chciałbym nikogo urazić i odpowiadam na każdy list, ale wolałbym, gdyby pisał ktoś jeden w imieniu grupy i w imieniu grupy on odpisywał, zadawał mi pytania, prosił o wyjaśnienia, umieszczał dowcipy (najlepiej misyjne), opisywał uroczystości parafialne i inne ciekawostki. Ale też chciałbym, aby to było z wiedzą Księdza Proboszcza lub Katechety, to dla mnie jest bardzo ważne. A gdy ktoś nie chce lub nie może wypełniać tej misji, niech wyszuka swego następcę. Dlaczego? Bo bardzo często (to już jest niemal regułą) upada akcja i ustaje korespondencja z chwilą zawarcia związku małżeńskiego. Po prostu „nikt nie może dwom panom służyć”. Mąż ma obowiązek służyć żonie, żona mężowi i razem służą dziecku. Dlatego księży w Kościele Katolickim obowiązuje celibat. Rozumie to dobrze młodzież malgaska, bo po ich pytaniu: „dlaczego księża nie żenią się, a pastory mają żony”? odpowiadam pytaniem: „czy są tu dziewczęta, które chciałyby być żonami księży”? Odpowiedzią zawsze był wybuch śmiechu. I już niewiele musiałem dodawać do słów Świętego Pawła na ten temat: łatwiej służyć bliźnim żyjąc samotnie, czego pragnęła Maryja. W małżeństwie żona musi starać się przypodobać mężowi, a mąż troszczyć się o żonę. Samotny ksiądz ma więcej czasu na pracę duszpasterską. Sprawa Boża na pewno zyskuje.

Nie zawsze osoby dobrej woli posiadają należytą wiarę czy też praktyczną wiedzę. Kiedyś wprosiłem się w zebranie katechetów pracujących w mieście, którzy dyskutowali o przygotowaniu dzieci do Pierwszej Komunii Świętej. Niespodziewanie, na samym początku zebrania ogólnego po pracy w grupach, poproszono mnie o „kilka” wyjaśnień. Wyjaśniałem

przez całą godzinę. Potem sekretarze grup odczytali sprawozdania, a ja przygotowywałem się do odprawienia Mszy Świętej. I wtedy przygotowująca ołtarz zapytała mnie, czy starczy komunikantów w puszce przyniesionej z kaplicy (przyniósł jeden z katechetów, który miał prawo udzielania Komunii Świętej), czy dołożyć? Problem nienowoty, trzeba przewidzieć ilość przystępujących do Komunii Świętej. Jednak tym razem „Pani katechetka” chciała dołożyć niekonsekrowane komunikanty od razu do puszki z konsekrowanymi. Pomimo tego potrafiła doskonale przygotować dzieci do egzaminu według katechizmu.

Kończę już przepaszając polskich Esperantystów, że nie piszę tego listu w języku międzynarodowym, ale... jeszcze nie jestem u siebie w domu.

* * * * *